

To nie jest kraj dla bogatych



Polska pozbawiona klasy zamożnej i choćby cienkiej warstwy ludzi naprawdę mających byłaby jak statek rzucony na morze bez oficerów i kapitana.

Jeden z najbogatszych Polaków zwykł zabawiać towarzystwo dykteryjką: „Nigdy przez całe moje życie biznesowe nie zawdzięczałem tak wiele jednej jedynej osobie. Jest nią Jarosław Kaczyński, któremu już zawsze pozostanę wdzięczny i dłużny”. Kiedy zdumieni rozmówcy czekają na puentę złośliwego żartu, bohater spokojnie tłumaczy: „Dzięki temu, że prezes i PiS urządzili nagonkę na bogatych, zdążyłem sprzedać moje polskie akcje przed światowym kryzysem. Inni bezradnie tracili na krachu giełdowym, ja czekałem z gotówką na nowe okazje, ale już poza Polską”. Czekal i, jeśli wierzyć najnowszej polskiej liście najbogatszych „Forbesa”, dobrze je wykorzystał.

No właśnie, lista „Forbesa”. Co roku wzbudza sporo emocji. W rankingu znalazły się te osoby, które w świetle dostępnych informacji dysponują największym mierzalnym majątkiem. Mają akcje spółek giełdowych, dokonują transakcji fuzji i przejęć, otwierają firmy i fundusze, dziedziczą spadki. Lista z roku na rok jest coraz pełniejsza. Po przejrzaniu jej pięciu edycji (polski „Forbes” obchodzi właśnie piątą urodziny) widać wzloty i upadki konkretnych postaci.

Ale ta lista pokazuje coś znacznie szerszego – dynamikę zmian w gospodarce. W miarę bogacenia się społeczeństwa, wzrostu zdrowej klasy średniej przybywa także bogatych – i to już nie tylko na polską miarę. Wprawdzie najbogatszy Polak – Jan Kulczyk – na światowej liście dolarowych miliarderów zajął dalekie 463. miejsce, ale jeszcze niedawno Polaków w zestawieniu globalnym nie było wcale. Dziś jest ich czterech.

Polską listę „Forbesa” niewątpliwie poważnie traktują osoby, które już na niej są, marzą o tym, by na nią trafić, a także – co w naszych warunkach wciąż jest częste – dałyby wiele, by się w tym rankingu nigdy nie pojawić. I tu jest prawdziwy problem. Po 20 latach zmian

to nadal nie jest kraj dla bogatych ludzi. Tych, którzy (niezależnie od pierwotnych źródeł kapitału) tworzą dziś tysiące miejsc pracy, dokładają się do wzrostu PKB. To ci, którzy są kreatywni i nie zważając na złe prawo i infrastrukturę, potrafią realizować swoje pomysły. Kto inny, jeśli nie oni – gdyby ich odpowiednio zachęcać – może popychać rozwój gospodarki? Alternatywa to państwo polskie, które jak było, tak jeszcze długo pozostanie zbyt biedne, by dawać obywatelom możliwości rozwojowe. No i alternatywą są inwestycje firm zagranicznych, które są nam potrzebne jak tlen, ale jednak z natury rzeczy tworzą dobrobyt przede wszystkim gdzie indziej.

Nasi najbogatsi niezależnie i niezależnie od akurat rządzącej władzy mają pod górkę. Gdy się jest na widoku publicznym, ciągle ktoś czegoś chce. Politycy, nie tylko w Polsce, przychodzą do bogatych tylko w jednym celu: z wyciągniętą ręką. Coraz rzadziej wprost, na chama, zazwyczaj z jakimś szlachetnym przesłaniem, ale powód jest aż nadto oczywisty. Dasz, a jutro dziesięciu następnych przyjdzie po więcej. Nie dasz, za chwilę zaczną się kłopoty, doprowadzą cię do bankructwa (jak Romana Kluskę czy śp. wrocławską firmę komputerową JTT), naślą kontrole skarbowe, ABW albo i CBA. Wywyższamy się wobec Wschodu, uważamy, że takie rzeczy to tylko w Moskwie, Kijowie czy Mińsku, ale nie ma tygodnia, by nie ujawniono kolejnych lokalnych skandali. A często i zwykłych przestępstw. Jeden z biznesmenów powiedział mi wprost: „Za nic w świecie nie chcę być na liście najbogatszych, bo to jak lista dla porывaczy. Stajesz się łatwy do namierzenia, a nikt nie chce skończyć jak Krzysztof Olewnik”.

Nie cierpimy oznak bogactwa. Wytykamy obnoszenie się z majątkiem, dwory, bentleye i maybachy, prywatne odrzutowce, jachty na Karaibach. Potępiając bogatych w czambuł, w jakiejś mierze podcinamy jednak gałąź, na której siedzimy. Polska pozbawiona klasy za-

możnej i choćby cienkiej warstwy ludzi naprawdę mających byłaby jak statek rzucony na morze bez oficerów i kapitana. Rząd, jak powiedział niesłuszny klasyk, sam się żywi. Ale co z resztą z nas, z tą wciąż dominującą częścią społeczeństwa, która nie zakłada firm i utrzymuje się z pracy najemnej?

Zamiast odpowiedzi spojrzmy na światową listę „Forbesa”. Kryzys kryzysem, ale doliczono się ponad 1000 miliarderów, o ponad 200 więcej niż przed rokiem. Choć jest ich jeszcze nieco mniej niż dwa lata temu, widać, że nawet w tak niesprzyjających okolicznościach kreuzi potrafią skutecznie zarządzać swoimi pieniędzmi. Ale nie tylko to. Zmieniający się świat, powstawanie nowych potęg gospodarczych widać natychmiast na liście „Forbesa”. Wprawdzie nadal 40 proc. obecnych w rankingu to Amerykanie, ale na drugą pozycję już trafili Chińczycy. 89 miliarderów to sporo jak na kraj wciąż mieniący się komunistycznym.

Symbolem zmian na finansowej mapie świata jest pierwsze w historii zwycięstwo Meksykanina Carlosa Slim Helu, który wcześniej ustępował Billowi Gatesowi i Warrenowi Buffettowi. Wszyscy trzej odrobili większość kryzysowych strat, ale Helu był najszybszy. Konia z rzędem temu w Polsce, kto potrafi o nim coś powiedzieć. Meksyk też, najogledniej mówiąc, nie kojarzy się z krainą szczęśliwości. A jednak tam (w telekomunikacji, bankowości, nieruchomościach) działa człowiek wart dziś 53,5 mld dolarów, czyli ponad jedną dziesiątą polskiego PKB.

Dlatego, zostawiając sobie prawo do krytyki przepychu i zachłanności, szanujmy bogatych, pozwólmy im działać, ściągajmy ich pieniądze do Polski. Przydadzą się nie tylko im.

Napisz do autora
michal.kobosko@newsweek.pl